Rok 1939 2 lipca Nr. 27

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

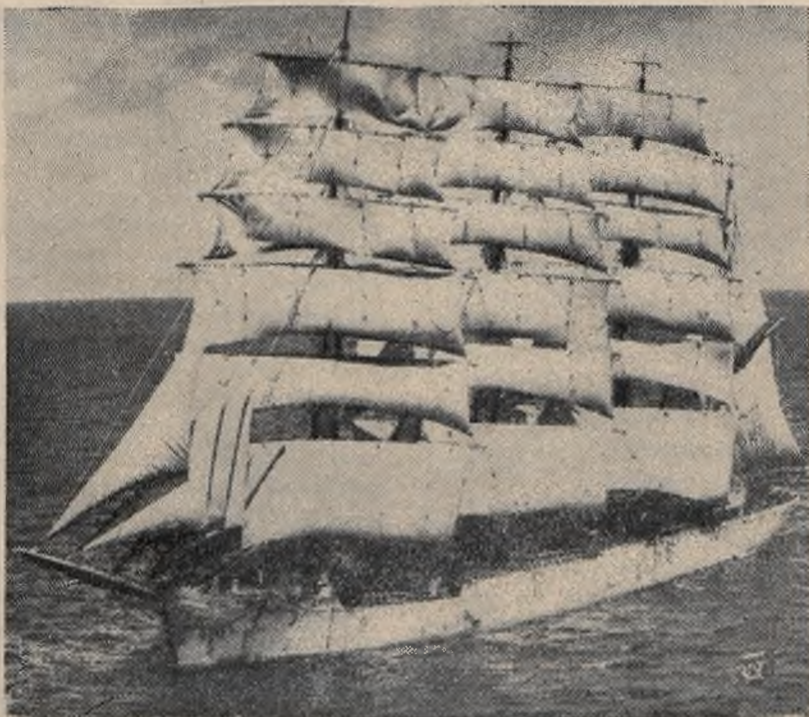
DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Z poezji Juliana Ejsmonda, przedwcześnie zmarłego poety, którego prześliczną „Litanię do Matki Boskiej" drukował swego czasu „Dzwoneczek", dajemy z nowo wydanego zbioru strofy przepojone duchem religijnym.

WSZĘDZIE JEST BÓG

O, powiedz gdzie Ty jesteś! Gdzie nie ma Cię, powiedz!
Szuka Cię duch ludzki, zbłąkany w mgłach wędrowiec.
O Tobie człowiek śni, gdy go przygniecie los...
O Tobie skoro świt, ptaszęcy śpiewa głos...

Do Twoich boskich stóp ślą woń wiosenne kwiaty...
Szuka Cię w sercu ziół motyli rój szkrzydlaty...
Szuka Cię w sercu gwiazd człowieczych ust wołanie...
O, powiedz, gdzieś Ty jest? Gdzie nie ma Cię, o Panie...



Najdłuższy na świecie okręt-żaglowiec czteromasztowy z rozwiniętymi żaglami, który odbywa podróż morską z Europy do Australii w ciągu czterech miesięcy.

NA MORZE!

Kto nie widział morza i nie znalazł się nigdy pośrodku jego falistej i ciągle ruchliwej równiny, niesiony na pokładzie dumnego statku — ten nigdy pojąć nie zdoła wrażenia, jakie ono wywiera.

Gdzie sięgniesz okiem — wszędzie woda, tylko woda i woda. Pod stopami wprawdzie czujesz coś nieustępliwego, niby ziemia, ale przecież pod tymi deskami pomostów, pod dnem olbrzymiego czółna, czai się otchłań bezdenna wód oceanu. A więc woda nie tylko dokoła nas, ale i pod nami.

Nie myśli się jednak o tym wcale, ufając statkowi, któremu genialny umysł ludzki unosić się kazał na powierzchni wody, mimo potwornego ciężaru, jaki stanowi sam i jakie dźwiga jeszcze na swym grzbiecie.

Przedziwnie czuje się człowiek na morzu, bo też przedziwny to twór Boga, któremu woli posłuszne jest wszystko na świecie. Nie marynarzowi wszystko tam osobliwe, nadzwyczajne, zaciekawiające. Całymi dniami gotów jest taki „lądowy człowiek“ stać przy burcie okrętu i wpatrywać się w bezkresną dal, od której nieustannie, w wieczystym pośpiechu toczą się fale, nieprzeliczone grzbiety fal, na których gdzie niegdzie dojrzysz białą grzywę piany, to znów zajaśnieją białe skrzydła mewy, co jakby przysiadła na wodnym bałwanie.

Morze jest w nieustannym ruchu, nawet w najcichszy, najpogodniejszy czas. Cóż dopiero mówić o burzy! Człowiek lądowy też mieć nie może pojęcia o nawałnicy morskiej. Jakie tam w oka mgnieniu rosną góry wodne i jakie straszliwe rozwierają się przepaście! Jak kołysze się wówczas największy choćby statek, jak wdziera się na owe góry i jak z nich znowu zjeżdża w dół, jak walczyć musi z nacierającym nań huraganem, jak czuwać nieustraszenie by z tej walki potwornej wyjść zwycięsko.

To nie igraszka — żywot marynarza. Ale też nie dla wygodnisia, tchórza, opieszalca, samoluba — zawód marynarza. Tam trzeba być człowiekiem hartu, siły woli, odwagi, wytrwałości żelaznej, trzeba umieć o sobie zapomnieć, a myśleć o wszystkich. I nie tylko o wszystkich, ale i o tym wspólnym domu, jaki stanowi dla marynarza okręt, a o którym nie zapomina, że jest on przede wszystkimwłasnością ogólną, majątkiem społecznym, narodowym, państwowym. Marynarz czuje i rozumie, że za całość i bezpieczeństwo statku odpowiada podobnie jak najwyższy dowódca załogi i że obowiązkiem jego jest oddać wszystkie swoje siły i życie nawet, by go ze wszelkiego złego przypadku wyprowadzić szczęśliwie wspólnym wysiłkiem.

Jak wielu takich młodzieńców potrzebuje nasza marynarka! W ciągu długich dziesiątek lat niewoli niejeden Polak marzył daremnie o ojczystej banderze na statku, przed którym świat cały stałby otworem. Oto teraz marzenie stało się rzeczywistością: Polska zdobyła brzeg własnego morza, ma swoją flotę, wojenną i handlową, ma swoją marynarkę, której szeregi mogą zapełniać jej obywatele. Świat stoi przed nami otworem.

Niechaj się zatem gotuje młódź polska do pracy na morzu. Rośnie bowiem flota polska i rosnąć będzie coraz prędzej. Coraz więcej bander biało-czerwonych niecierpliwie targać się będzie na wietrze z najwyższych masztów okrętowych, jak gdyby całemu krajowi nieść chciały wezwanie:

Na morze, hej na morze, na wód [bezkresną dal,
Na wichry i na ciszę, na dziwną gędźbę [fal.
Tam poznasz moc żywiołu, tam Bożą [poznasz moc,
Rozjaśnisz duszę światłem—nie straszną [będzie noc.

Kompas ci drogę wskaże, drogę wśród [pustki wód,
A w sercu znów ten drugi — nadziei [kompas-cud.
I chociaż życie twarde, choć codzień [jeno znój —
Potężny z tego będzie ten kraj ojczysty [twój.

Na morze, hej na morze, bandera [wzywa was!
Czuj duch! Syrena gra rozgłośnie: [odjazdu nadszedł czas!

E. O.

Harcerskie zabawy murzynków

(Ciąg dalszy)

— Zgoda — huknęli wszyscy.

— A więc uciekaj teraz, Bananie. Masz tyle czasu do ukrycia się, ile potrzeba na zjedzenie ananasu. Ale pamiętaj, że z lasu wychodzić ci nie wolno.

Gdy Banan-złodziej zniknął za drzewami, komendant pouczał swych podwładnych:

— Wiecie o tym, że Banan jest sprytny i silny. Idźcie po dwóch. Gdy go tylko spostrzeżecie, wołajcie drugich do pomocy. Musicie go związać lianami, bo inaczej ucieknie. Dwóch niech idzie szukać go między chatami. Reszta po dwóch w las. Zaglądajcie wszędzie: w jamy, w gąszcze, za pniami drzew, pod powalonymi drzewami, nawet pod mchem. Ja będę czuwał koło wsi.

Małpi Ogon poszedł razem z Wężem. Nic podejrzanego nie widzą.

— O ja znam sztuczki Banana! żeby nie zostawiać za sobą śladów, poszedł wzdłuż strumienia. Pójdziemy tam zobaczyć, czy trawa zdeptana.

Rzeczywiście, widne na niej ślady stóp i dalej wyraźnie już na piasku. Nic nie ujdzie oczom dzieci wychowanych na łonie natury. Nauczyła ona je znakomicie trudnej sztuki spostrzegania najmniejszego chociażby szczegółu, który przydać się może w danej sprawie.

— Patrz, po tej wielkiej gałęzi wlazł na drzewo i zeszedł po drugiej stronie. Myślał, że ślad za sobą zagubił zupełnie. Ale to spryciarz z tego Banana!

Obaj „policjanci" poszli tą samą drogą i po chwili zeskakując z drzewa, znaleźli miejsce, w którym uczynił to „złodziej".

— Doskonale nam się udało. Tu musiał się gdzieś ukryć. Kładźmy się i nadsłuchujmy.

Wtem przebiegła tuż obok strwożona antylopa, ale już zwierz prawdziwy, nie chłopak o tej nazwie. Spojrzeli po sobie i porozumieli się bez słów: antylopa została spłoszona przez Banana.

W tejże chwili dał się słyszeć głos drugiej pary „policjantów".

— Uwaga! Widzieliśmy go! Chce uciec!

Wąż z Małpim Ogonem przypadli do ziemi. Zakryły ich liście i zwalone pnie. „Złodziej" nie spodziewając się tego, pewny, że ma jedynie dwóch wrogów z tyłu za sobą, czepił się zwisającej gałęzi, by znowu przeszedłszy na drugą stronę drzewa dostać się nad strumień i zmylić ślady swym prześladowcom.

Teraz dopiero wyskoczyli Małpi Ogon z Wężem.

— Na pomoc! Już go mamy! prędko!

Na to Banan z drzewa:

— Wcale mnie nie macie! Zostanę na drzewie, aż słońce zajdzie i zabawa się skończy.

Wpada trzecia para tropicieli: Szczur i Papuga.

— Gdzie on, gdzie?

— Tam, na drzewie.

— Jesteś schwytany, złaź!

— Ani myślę.

— A, poczekaj, ja ci pokażę drogę... Wy tu stójcie pod drzewem i jak tylko Banan dotknie nogą ziemi, chwytajcie go!

Jak prawdziwa małpa wdrapuje się Szczur na drzewo, na którym zaczyna się teraz gonitwa dwóch świetnych gimnastyków. Szczur już jest blisko. Banan skacze na ziemię, w nadziei, że uda mu się ujść szczęśliwie. Ale cztery pary rąk towarzyszy przytrzymują go na ziemi.

(Dokończenie nastąpi).

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy).

— A czy panowie zawsze tak smutno śpiewają?

— Smutno, my? Co też panie mówią.

— Jak nasz wózek tu dojeżdżał...

— Panie Leszku, niech pan się zgodzi. Zaśpiewajcie nam panowie. Ten niepoczciwy deszcz nie myśli przestać padać. Więc dopóki nas gościnni gospodarze nie wypędzą, będziemy tu panom zawadzały. No, prosimy zaśpiewać.

Chłopcy spojrzeli po sobie, a Bolek strzeliwszy wzrokiem ku strojnej pannie, która z miną znudzoną tak się domaga ich śpiewu, podsunął melodię. Chór zagrał z mazurska na swych młodych piersiach, aż się barak zatrząsł:

Ty ze mnie szydzisz, panienko,
Że nie dbam o szyk:
Noś ty sobie wraz z sukienką
i gałganków plik.
Jam skaut! to mi dość —
Tuż pod bluzą serce
Nosić przyjacielskie,
Czuj duch! Z drogi złość!
Skrzydła zaszumią anielskie.

Śniade bliźniaczki milczały z taką minką, jak gdyby pilnowały się wzajemnie, by nie wybuchnąć śmiechem, a woskowa laleczka poprawiając ciągle jedwabne woale na sobie, uśmiechała się z przymusem, niby troszkę nadąsana.

— Hm, hm — chrząknął paniczyk spod igły — czy to do nas pito?

— Ładnie, panowie — z przekąsem odezwała się strojnisia — tak swoim gościom w oczy prawić impertynencje.

— Ależ nikt nie chciał pań obrazić — rzucił się ku niej Zawisza — przepraszam!

Na znak Bolka Trębacza zadudniało w drewnianym baraku od łopotu skrzydeł; to chór głosów junackich wyleciawszy pod dach krakowiakiem, bił o sperlone żywicą tarcice sosnowe, jako te ptaki, co w zamknięciu nie strzymają, co jeno pod słońcem żyć chcą i muszą — zdala wzwyż nad wszystko niskie.

Chcesz poznać junaka, zajrzyj mu wprost [w oczy:
Kiedy korab świata w błocie kłamstwa [broczy,
On pierwszy z obłudą bój zacięty toczy.

Chcesz poznać junaka, zapytaj go szczerze,
Skąd się w jego oku tyle światła bierze:
Stąd — powie — że kłamstwem brzydzą [się harcerze.

— Bardzo ładnie panowie śpiewają — rzekł Władek Łomnicki, jakby chciał zapobiec możliwym przymówkom. Leszek jednak widząc, że spośród gości humor uleciał, postanowił z miejsca rozweselić towarzystwo z powrotem.

— A panie sądziły — rzekł — że mamy zwyczaj śpiewać same smutne rzeczy. My się pośmiać umiemy i rozśmieszyć potrafimy nawet tak poważne babuleńki, jak panny Wicia i Wacia...

W mig zrozumiał Bolek, czego chce naczelnik, używając takiego wyrażenia. Szepnął tedy coś druhom i ręce wzniósł w górę.

Była babuleńka, co trzech wnuków miała:
Jej pociecha cała —
Mieć z nich trzech junaki,
Skaut zuch!
Czuj duch!

Nie jak te robaki —
Stach, Zbych, Lech —
Z wszystkich trzech
Junaki!

Będą żołnierzyki, nawet bez pałasza!
Górą dobra nasza,
Kiedy z wnuków zuchy.
Skaut zuch!
Czuj duch!

Nie jak marne muchy —
Stach, Zbych, Lech —
Z wszystkich trzech
Są zuchy!

Pokładano się od śmiechu, bo chór Lwów śpiewał tę humoreskę muzyczną z takim życiem, a w sposób tak pocieszny, niektóre zdania recytował w tempie tak pośpiesznym, jak gdyby szczekał, kichał, strzelał (C. d n.)